

Dole i niedole niszy

Jesteś z wykształcenia kulturoznawcą (teatrologiem), a od prawie dekady prowadzisz Oficynę - w kraju, gdzie ponad 60 procent obywateli przez rok nie miało książki w rękę, a najpopularniejszym pisarzem w XXI wieku jest Sienkiewicz; w mieście, które ma niezłe środowisko literackie, ale które literatury bardzo nie ceni (chyba że modny kryminał). Czyli jesteś samobójcą, i to podwójnym?

- Widać to sprawa genów, a nie misji. Prowadzenie wydawnictwa to był jeden z pomysłów, który pojawił się w trakcie studiów, poczynawszy od drugiego roku, gdy z moją partnerką, a wówczas koleżanką, Mają, rozmawialiśmy o tym, co warto przełożyć z angielskiego - z tekstów kulturoznawczych, bo nie mówiliśmy wówczas o literaturze. Miałem czas, by je podczytywać, a gdy kończyłem studia, zorientowałem się, ilu świetnych specjalistów, i nie tylko od niszowych tematów, mamy w mieście, oraz jak słabo są oni wykorzystywani. Mam zresztą hopla na punkcie Łodzi i tego, jak ona nie dostrzega swojej wartości, jak ciężko tu znaleźć odbiorcę dla gestu artystycznego. Miałem szczęście, że moi wykładowcy, wspaniali ludzie (to były ostatnie złote lata łódzkiego kulturoznawstwa) zaufali mi i powierzyli antologię „Pamięć Shoah”. Była efektem konferencji, ale z publikacją pokonferencyjną, która interesuje głównie jej autorów, nie miała nic wspólnego - tak została przeformułowana. I stała się w kraju lekturą podstawową dla wszystkich badających tematykę Holokaustu i jego pamięci. To była misja straceńcza. Ponad osiemset stron i trzy miesiące na wydanie. Wyszła z błędami, ale mogliśmy ją dopracować i wydać znów: część artykułów wymieniliśmy, zamawiając nowe, książka zyskała na objętości, udało nam się też zdobyć dofinansowanie z ministerstwa nauki. To był już kolejny rok działania Oficyny. Trzecią naszą książką był „Witkacy i reszta świata” Tomasza Bocheńskiego, czyli kolejny tytuł z „genem” łódzkim. Zawsze wiedziałem, że będę chciał współpracować z osobami, które współtworzą środowisko akademickie. „Pamięć” była darem od losu, inaczej projektowaliśmy Oficynę, ale ważne było to zaufanie ze strony wykładowców. Była to publikacja ważna dla mnie także ze względów osobistych.

Ile daliście sobie czasu na rozruch i kiedy przekroczyliście punkt, w którym uznaliście, że idziecie w to dalej?

- Dostałem szansę od rodziców, którzy dali mi zaplecze administracyjno-księgowo-finansowe firmy, ale i tak musiałem szukać środków. Daliśmy tej idei około pięciu lat. Po dwóch założyłem samodzielną firmę, przejąłem stany magazynowe i prawa do części książek. Od grudnia 2011 roku działam na własny rachunek.

Wcześniej wiedziałeś coś o tym, jak prowadzi się wydawnictwo czy uczyłeś się w praktyce?

- To przychodziło stopniowo. Czerpałem wiedzę zewsząd: z każdej książki, strony internetowej, ze spotkań podczas targów książki, gdzie pytałem o wszystko, a wydawcy zawsze pomagali. Wiele wyjaśnił mi Krzysztof Bielawski z nieistniejącego już niestety wydawnictwa Homini. Co do teatrologii zaś, trzeba pamiętać, że była ona wpisana w szerszy kontekst kulturoznawstwa, które w Łodzi było wtedy wspaniałym kierunkiem. Irena Lewkowicz, Kasia Wielechowska, Tomasz Majewski, śp. Anna Zeidler-Janiszewska, Danuta Szajnert otwierali nas na kapitalną literaturę z humanistyki, która zostaje w głowie i tworzy kontekst, w jakim poruszamy się, gdy idziemy do teatru czy spacerujemy po Bałutach. Dlatego mój umysł, co widać po bibliotece za mną, chce dotknąć masy dziedzin i jest otwarty na to, co nowe. W profilu wydawnictwa mojego wykształcenia nie widać - choć teraz intensywniej myślę o wydaniu kilku dramatów, nowych przekładów klasyki światowej, ale to faza początkowa.

Cały wywiad można przeczytać w kwietniowym numerze „Kalejdoskopu”, który jest dostępny w kioskach Ruchu, Kolportera, Garmond-Press, w salonach Empik, recepcji Łódzkiego Domu Kultury oraz w prenumeracie:

<https://prenumerata.ruch.com.pl/prenumerata-kalejdoskop-magazyn-kulturalny-lodzi-i-województwa-lodzkiego>